

Współczesna Medea czyli etyka i polityka w zaczarowaniu

Autor tekstu: Jan Kurowicki

1. Wartości i odczarowani bogowie

Do zgodnego z moralnymi wartościami uczestnictwa w polityce, wedle jednych, wystarczy Dekalog i ewangeliczne kazanie na górze; według innych — uczciwość, odpowiedzialność za wspólnotę i kierowanie się wskazaniem sumienia. W obu tych przypadkach zakłada się, że podmioty polityki z góry wiedzą, co mają robić, czego zaś unikać, aby być w zgodzie z dobrem i nie dopuścić do panowania zła. Odpowiednio do tej wiedzy określają cele i dobierają środki działania. Tworzą też jego strategię i taktykę, które zmieniają lub modyfikują zależnie od stanu swych sił, napotykanym przeszkód lub kłopotów. W każdym zaś momencie działania pilnie baczą, aby nie zgubić drogi wyznaczonej przez światło wartości.

Wszakże w „Polityce jako zawodzie i powołaniu” M. Weber słusznie już dawno temu wskazywał, że oba te stanowiska we współczesnym świecie nie są (i być nie mogą) podstawą mariażu etyki i polityki. Wznoszą się bowiem zbyt wysoko ponad skomplikowane sploty stosunków i powiązań w sprzecznych, historycznie ukształtowanych praktykach politycznych, w które uwikłane są wszelkie normy i wartości. Stanowiska te wystarczają co najwyżej do formułowania ogólnikowych moralnych pouczeń i ocen działań oraz ich intencji, boć są wyrwane z kontekstów, w jakich dochodzą one do głosu. Pozostają tedy w sferze wzniosłych i pustych frazesów.

Kierując się więc tylko ich wskazaniem, jesteśmy ślepcami w realiach polityki. Trwamy w nich zagubieni. Boć gdy po średniowieczu świat pozbawiony został otuliny religijnego sacrum, zgasło światło wszelkich odwiecznych wartości. Nastął pochmurny dzień powszedni, czas prozaiczności. [\[1\]](#) W nim natomiast, jak powiada Weber, „Odczarowani dawni bogowie przybierają postać bezosobowych mocy, powstają z grobów, dążą do zapanowania nad naszym życiem i ponownie zaczynają ze sobą odwieczną walkę. Sprostanie takiej p o w s z e d n i o ś c i stało się jednak bardzo trudne dla człowieka współczesnego (...). Wszelka pogoń za "przeżyciem" pochodzi z tej słabości. Słabością jest bowiem, jeśli ktoś nie może spojrzeć w najsurowsze oblicze przeznaczenia epoki, w jakiej żyje”. [\[2\]](#) Nie wystarcza więc nie tylko sama uczciwość i odpowiedzialność za wspólnotę. A także: czucie i wiara oraz etyczne rodzyńki Dekalogu w postawie polityka, aby mógł on podejmować takie lub inne działania. Bez chłodu rzetelnego poznania historii oraz współczesnych form uwikłań i powikłań praktyk politycznych, może i sycą go one duchowo, nie zabezpieczają jednak przed powstałymi z grobu demonami.

Co więc czynić należy? Różne padają odpowiedzi. Jedni przechodzą obojętnie obok Weberowskich przestróg i ślepo trwają przy hasłach Dekalogu. Inni krzywią się na nie i poszukują rozstrzygnięć w głębiach podmiotowej subiektywności. Oto parę dobrych dziesiątków lat temu L. Kołakowski ogłosił esej pt. „Etyka bez kodeksu”. Wykazywał w nim, że wszelkie kodeksy moralne, także w zastosowaniu do polityki, nie mają sensu. Stanowią bowiem sita, z których zbyt szybko i obficie wycieka woda zbiorowego i jednostkowego życia, płacząc i gmatwając wszelkie wartości i normy. Życie to bowiem składa się z sytuacji moralnie konfliktowych. Nie da się więc rygorystycznie rozstrzygać jego dylematów wedle żądań kodeksowych norm. Z kolei każdy kodeks zbyt łatwo może stać się przysłoną hipokryzji i faryzejstwa. Nie ma przecież działania ludzkiego, powiada, którego nie dałoby się uzasadnić jakimś szczytnym ideałem czy moralną zasadą. Postulował tedy etykę bez kodeksu, czyli postawę, w obrębie której decyzje aksjologiczne podejmowane są na podstawie człowieczej intuicji moralnej, przy świadomości jej ryzyka i w ciągłym poczuciu niepewności. [\[2\]](#) Wbrew Weberowi więc podtrzymywał wiarę w rangę przeżyć i ujawniających się w nich odpowiednich do kontekstu zasad i wartości. Nie bał się też żadnych demonów.

Kołakowski swój esej pisał jeszcze w Polsce w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Miał wtedy głównie na oku dwa kodeksy: etyki socjalistycznej, czyniącej miarą polityki i ludzkiej aktywności moralnej ideały braterstwa, równości i sprawiedliwości, które wyradzały się w swe zaprzeczenia. Miał też wszakże na uwadze właśnie Dekalog, zbyt łatwo, jego zdaniem, stający się w historii usprawiedliwieniem i sztandarem sprzecznych interesów i fanatyzmów. Autor chciał, by wybory moralne zarówno w życiu jednostkowym, jak i w polityce, były samoistnymi aktami ludzkiej

woli. Pragnął też, aby każdemu towarzyszyło brzemień odpowiedzialności i nieustanna troska, wynikająca z ryzyka decyzji. Obu kodeksom tedy mówił „nie”, chcąc widzieć w działaniach ludzi postawy otwarte i krytyczne.

Stąd też w innym swym eseju: „Kapłan i błazen” [4] przeciwstawiał - zasklepione w sobie — doktrynerstwo ideologiczne i religijne postaw kapłańskich, roszcujących pretensje do nieomyślności, prawdy i słuszności, zawsze w imię aktualnie panującego układu — postawom błazeńskim: wszystko kwestionującym, lecz nie w imię odmowy odpowiedzialności, lecz z buntu przeciw zaślepieniu czy karnej bezmyślności.

Zarówno „Etyka bez kodeksu”, jak i „Kapłan i błazen” stanowiły istotny zaczyn myślowy zwłaszcza dla pokolenia, które w dorosłość i w życie intelektualne wkroczyło pod koniec lat sześćdziesiątych. Oba te eseje, choć, jak widzę to obecnie, nie dorastały do głębi ujęć Webera, zdawały się zawierać zwięzłą kwintesencję i ocenę tego, co działo się w świecie XX wieku, zwłaszcza w Polsce podczas i po II Wojnie Światowej, i stanowiły odpowiedź na narosłe dylematy. Byłem esejami tymi zafascynowany, bo właśnie do tego pokolenia należę.

Rodziły jednak one kolejne pytania i wątpliwości. Przede wszystkim: czy odpowiedzialność, która się wspiera tylko na intuicji moralnej nie prowadzi albo do trwania w beztroskim błaznowaniu albo do zasklepienia w rozterkach bez wyjścia? Jedno i drugie bowiem jest w pełni uprawnione w literaturze i sztuce, w życiu natomiast sprawy się komplikują, prowadząc niekiedy do konsekwencji wręcz tragicznych. Cóż więc z tym życiem zrobić? Można oczywiście błaznować lub pogrążyć w rozmyślaniach, gdy się jest intelektualistą, co jednak mają czynić zwykli ludzie? Co ich może zabezpieczać przed powstałymi z grobów demonami?

Do dziś nie mam przekonujących i jasnych odpowiedzi na te pytania, choć już wtedy przekonał mnie Kołakowski do bezsensowności wszelkich kodeksów i zaszczylił odrazę do ich kapłanów. Wiem wprawdzie, że bez odpowiedzi na nie - świat się nie zawali, że obok nich wyrastają jeszcze inne pytania, jak niedawno jeszcze krzyże na Krakowskim Przedmieściu pod Pałacem Prezydenckim, ale nie wystarczy żadna moralna policja w polityce i życiu prywatnym, aby przestały mnie gryźć wątpliwości.

Uciekam dlatego w przestronny świat fikcji.

2. Żądanie zadośćuczynienia

Oto w ostatni marcowy poniedziałek 2011 r. powtórzono w TVP 1 świetny spektakl W. Krzystka według sztuki F. Duerenmatta pt. „Wizyta starszej pani”. Tak wszakże został on skonstruowany, że zaleca się nie tylko estetycznie, ale stanowić może godny teoretycznej uwagi, artystyczny obraz współczesnych relacji między etyką i polityką. I to mimo tego, że bezpośrednio jej nie dotyczy. Jego bowiem tematem jest zemsta nadszarpniętej przez ząb czasu miliardarki na mieszkańcach pewnego miasteczka za krzywdy, jakich od nich onegdaj doznała.

Żyła oto w nim ona za młodu i tam pozbawiono ją godności za sprawą wiarołomnego kochanka. Wyparł się on bowiem sprawstwa życia poczętego w jej ciele. Oskarżył o dziwkarstwo i (pośrednio) wepchnął w prostytutkę. Wprawdzie wyciągnął ją z tego fachu i poślubił obrzydliwie bogaty (ormiański) miliarder, który zresztą szczęśliwie dla niej rychło umarł i majątek jej zostawił, jednak kolec krzywdy nie pozwolił jej tym się cieszyć. Użyła więc najpierw swego bogactwa, by miasteczko stało się ubogą, pozbawioną perspektyw dziurą. A kiedy to nastąpiło — zjawiła się w nim. Rychło w czas, bo po czterdziestu picu latach od zejść z młodości. Z jednym zamiarem: by moralnie mieszkańców upokorzyć, a kochanka — ich rękoma — zabić.

Temat ten jest na miarę powieści dla kucharek czy telewizyjnej telenoweli. Pod piórem autora jednak i dzięki artystycznemu wyczuciu reżysera, stał się on wszakże jedynie osnową spektaklu. W środku zaś migocą właśnie relacje między etyką i polityką, przybierając kształt społeczny, psychologiczny i egzystencjalny. Oczywiście pojawiają się tu nieuchronnie wątki tragiczne i tragikomiczne, lecz, w świetle groteskowej ironii, przenikającej całość, nie wyciskają one tylko łez ani też nie śmieszają zbyt często. Służą utrzymaniu napięcia i nadają wyrazistość przedstawieniu.

Tak zatem na dworzec do miejscowości na miarę Lwówka Śląskiego czy innej zapyziałej dziury w Kotlinie Jeleniogórskiej przybywa pociągiem pośpiesznym bohaterka. Zatrzymuje go bezprawnie, pociągając za hamulec bezpieczeństwa. Tu czekają już na nią (bo zapowiedziała swe przybycie) co znaczniejsi obywatele miasteczka z burmistrzem i dawnym kochaniem. Ona zaś tak sownie opłaca awanturującego się o wymuszenie postoju konduktora, że wprawia ich w zdumienie, ale i budzi nadzieje na to, co może uczynić dla miejsca swej młodości, bo nie wiedzą po co faktycznie przyjechała. Kiedy więc po rozgoszczeniu się w hotelu przybywa na spotkanie z nimi w urzędzie miasta, spływają na nią komplementy. A gdy deklaruje, że zamierza na potrzeby tej dziury

przeznaczyć pół miliarda dolarów, a drugie tyle dać jego mieszkańcom do podziału, wzbudza entuzjazm. Nie trwa on jednak długo, bo zaraz też stawia warunek: za niegdyś doznane krzywdy chce, by uśmiercono jej dawnego kochanka.

Na początku warunek ten zostaje odrzucony. Przyznano, że dopuścił się on niegodziwości. Sąd uwierzył wtedy fałszywemu świadectwu. Niesłusznie spotkało ją potępienie. Wyrażono ubolewanie z powodu śmierci jej dziecka i upadku w prostytutkę. Aliści, jak powiedziano, upłynęło już kilka dziesiątków lat. Wszystko to się prawnie przedawniło; moralnie zaś zatarło. Życie poszło swoją drogą i czas pokazał, że ani działania mieszkańców ani bezpośredniego jej krzywdziciela nie biegły tylko drogą zła. On zresztą stał się szacownym obywatelem. Może niebawem obejmie urząd burmistrza. Niedopuszczalne jest więc żądanie kary niewspółmiernej do czynu. Wskazana jest raczej wielkoduszność. A samo jej życzenie, by wyrok wydało i wykonało miasto, jest nie tyle zadośćuczynieniem, co haniebnym upokarzaniem jego obywateli. Wszyscy więc mogą współczuć starszej, bogatej pani za to, co spotkało ją jako młodziutką Klarę, ale nic więcej.

Ona wszakże uznała, że to zbyt mało, bo co dla innych stało się może przedawnione, dla niej wciąż trwa w kształcie jej losu, którego już nic nie może odwrócić. Żąda więc sprawiedliwości i oświadcza, że będzie do skutku na nią czekała. Wraz z (oczywiście) połową miliarda dla miasta i drugą połową do podziału. Zgadza się wprawdzie, że życie popłynęło dalej, ale, jak mówi do sprawcy zła: „Oboje zestarzeliliśmy się, ty się zmarnowałeś, mnie pokrajali chirurdzy, teraz chcę, żebyśmy się rozliczyli: wybrałeś sobie własną drogę, a mnie narzuciłeś moją. Gdy przed chwilą byliśmy w lesie naszej młodości, pełnym oznak przemijania, chciałeś żeby czas został unieważniony. Obecnie ja go przekreślam, obecnie ja chcę sprawiedliwości, sprawiedliwości za miliard" [5].

Tym samym objawia się mieszkańcom, jak Medea, bohaterka greckiej tragedii, która nie zna upływu czasu dla rekompensaty doznanych krzywd moralnych. Trwają one, aż nie zostaną naprawione. „Starsza pani — powiada autor — ma poczucie humoru, nie wolno tego przeoczyć, z dystansu patrzy na ludzi, jak na towar do nabycia, i z dystansu patrzy też na siebie samą, odznacza się osobliwym wdziękiem, groźnym urokiem. Ale ponieważ obraca się poza obrębem ludzkiego porządku, przestała się rozwijać, skostniała, straciła zdolność do jakiegokolwiek przemiany, wyjąwszy przemianę w kamienne bóstwo" [6].

Na początku jednak wszyscy stają po stronie jej krzywdziciela. Czas wszakże płynie i sytuacja się zmienia. Stopniowo, najpierw ukradkiem, potem otwarcie, zaczynają się zapożyczać i żyć na kredyt, jakby mieli pewność, że ktoś ich długi pokryje. Kupują buty, ubrania, lepsze papierosy i alkohol. Proboszcz sprawia nowy dzwon do kościoła. Burmistrz planuje nowy ratusz. Nawet żona sprawcy nieszczęść Klary uposaża się w drogie futro. Bezrobotny ich syn — w samochód. A córka nie tylko elegancko się stroi, ale i zapisuje na lekcje angielskiego i francuskiego. I wszyscy zapewniają go, że tu wcale nie chodzi o jego głowę, za którą zapłacić ma starsza pani. Biorą na kredyt różne atrakcje, bo potrzebują tego, co na skinienie im dają. Z drugiej strony nawet burmistrz nie widziałby niczego niestosownego czy dziwnego, gdyby się śmiertelnie postrzelił np. podczas czyszczenia myśliwskiej strzelby, którą właśnie przyniósł mu w prezencie. W międzyczasie pojawiają się w miasteczku radiowi i telewizyjni dziennikarze. Zwietryli tu bowiem sensację, która nadaje się na niejednego newsa, choć bez poczucia wymiaru rozgrywających się zdarzeń.

Bohater sztuki zaś czuje się osaczony i zaszczuty. Początkowo miota się. Szuka wyjścia, sojuszników. Z czasem jednak zmienia się. Nawet zdaje się rozumieć intencje współmieszkańców. I — jak powiada autor w „Adnotacji” — dopiero wtedy staje się z wolna bohaterem na miarę Klary — Medei, choć „początkowo jest jedynie nieświadomą ofiarą starszej pani, będąc winnym, że życie samo zmasało wszelkie winy. Potem jednak bezmyślny, prosty człowiek, któremu pod wpływem strachu, pod wpływem przerażenia zaczyna coś świtać, coś jak najbardziej osobistego, w sobie samym przeżywa działanie sprawiedliwości, uznaje własną winę i staje się wielki przez swoją śmierć, której nie brak pewnych znamion monumentalności" [7].

Istotne przy tym znaczenie ma dla sensu spektaklu wymiana zdań między miliarderką a dyrektorem miejscowej szkoły - humanistą. Prosi on ją oto o zaniechanie myśli o zemście, nie doprowadzanie mieszkańców do ostateczności i dopomożenie „biednym, słabym, ale uczciwym ludziom wieść nieco godniejsze życie”; na zdobycie się przez nią „na prawdziwe człowieczeństwo”. Ona jednak trwa przy swoim. Mówi: „Człowieczeństwo, moi panowie, jest podporządkowane gieldzie milionerów, jeśli ktoś rozporządza takim kapitałem jak mój, stać go na stworzenie sobie własnego ładu świata. Świat zrobił ze mnie dziwkę, teraz ja zrobię z niego burdel” [8].

Kiedy zaś słyszy, że ma wiekopomną możliwość, aby bezinteresownie wydzwignąć miasto ze stanu wegetacji, mówi, że to ona właśnie świadomie im go zafundowała, kupując je już dawno wraz z zapleczem produkcyjnym, które unieruchomiła. Zmieni to, powiada, gdy zostanie spełnione jej życzenie. Ona rozgrywa i chce wygrać. Płaci i wymaga.

I niepostrzeżenie, wraz z nabywanymi przez mieszkańców dobrami i otwierającymi się możliwościami, jej racje stają się dla wszystkich oczywiste. W finale spektaklu odbywa się zebranie mieszkańców. O nikczemnych zbrodniach dawnego kochanka Klary, świętych wartościach, o konieczności sprawiedliwego zadośćuczynienia i karze mówi w patetycznym przemówieniu nauczyciel-humanista. Zebrani przyjmują je z entuzjazmem. Burmistrz natomiast zarządza głosowanie za wyrokiem śmierci. Wszyscy są za. Opowiada się też zanim oskarżony.

Wyrok zostaje wykonany zbiorowo, przy zgaszonych światłach, w miarę po cichu. Pod nieobecność pań i dziennikarzy, którzy udają się na poczęstunek. Trupa zabiera starsza pani, a zbiorowość, w imię prawdy i niepodważalnych wartości podąża ku świetlanym perspektywom...

3. Starsza pani jako polityk

Jak w kropli rosy odbija się w pomniejszeniu świat widzialny, tak w tym spektaklu i zobrazowanym w nim miasteczku ukazują się przesłanki współczesnie dziejącej się polityki oraz materialne stosunki między nią i wartościami etycznymi. Oczywiście obraz ten jest (bo być musi) uproszczony. Zarówno bowiem wizerunek świata w tej kropli, jak i wizja polityki w dramacie nie ogarnia całości zjawisk, a wybrane momenty. Jest tego wszakże dostatecznie wiele, by zasługiwało na filozoficzną refleksję.

Tak więc w przedstawieniu bohaterka jawi się nie jako zwykła, skrzywdzona kobieta, nie tylko też jako po prostu Medea, żywcem przeniesiona ze starogreckiego teatru, lecz jako polityk, realizujący misję, w której sensowność wierzy. Dysponuje przy tym nie tylko racjami moralnymi, lecz prestiżem i bogactwem, pozwalającym jej uruchamiać tajemne demony: bezosobowe i mroczne siły w człowieku i stosunkach między ludźmi, aby nad nimi panować. Jej zaś działalność rozgrywa się na kilku planach jednocześnie.

Pierwszy realizuje jeszcze przed wizytą. Stanowi go ciąg finansowych decyzji, za których sprawą rujnuje miasto i jego mieszkańców, choć oni — nieświadomi tego - uważają spadające na nich plagi za namotane przez „Żydów”, przez „wielką finansjerę”, czy „międzynarodowy komunizm” [9]. Ich jednak skutkiem, jak powiedziałyby W. Benjamin są „troski”, które, czytamy, są umysłową chorobą, charakterystyczną dla epoki kapitalizmu, przypominającą duchową beznadzieję w nędzy wędrownych i żebraczych zakonach. „Warunki tak beznadziejne — pisze — wytwarzają winę. „Troski” są oznakami poczucia winy wywołanego przez beznadzieję. „Troski” rodzą się ze społecznej, a nie indywidualnej i materialnej beznadziei” [10]. Kiedy więc starsza pani zjawia się na dworcu, uosabia dla nich nadzieję bez-troski: pomyślnej przyszłości i wartości godziwego życia, które mogą zaistnieć dzięki niej. To też dochodzi do głosu na pierwszym spotkaniu w urzędzie miasta z władzami. Znajduje wyraz w czołobitności i komplementach. Potem — w rozmowie z humanistą.

Sytuacja jednak, do której ona doprowadziła, otwiera dla niej także plan drugi: działań prowadzących do samoupokorzenia się mieszkańców i pozbawienia życia ich rękoma dawnego jej kochanka. Kiedy więc oferuje miastu miliard dolarów, ale i formułuje warunek darowizny, wie doskonale, jak zareagują. I że wszystko *musi się* potoczyć tak, jak chce ona.

Nie dziwi się jednak, iż w minionych zdarzeniach nie widzą oni zła. Myślą, że jeśli kogokolwiek



wtedy skrzywdzili, to lekkomyślną erotycznie dziewczuchę, a nie arcybogatą starszą panią, którą łączy z nią jeno to, że pochodzi „z tej ziemi”, z ich miasteczka. Jest jednak teraz jego perłą w koronie. Przeszłość stanowi drobny, nieznaczący epizod. Powinna więc, jak oni, przejść nad nim do porządku. Gdyby wtedy zajmowała pozycję tę samą, co teraz, do żadnej tragedii by nie doszło, bo przecie nie chodziło by o jakąkolwiek Klarysię, ale o posażną, godną poważania Klarę. Seksualne więc figle z nią kochanka, byłyby wstępem do moralnej chwały ich małżeństwa. Ale rozumie się, że wolał on wówczas pannę, która wniesie mu sklep w wianie, niż gołe (nie tylko w krzakach) dziewczę. Fałszywie ją oskarżył, to prawda, lecz to wiano pozwoliło mu wyjść „na ludzi”. Kierować się niezłomnie etycznością zacnych obywateli. Są więc oburzeni i zaskoczeni jej żądaniem.

Dla nich bowiem jest tak, jakby dawno temu krzywdy doznał pewien damski lump, jakaś biedna kobieca wywłoka, a zraniona czuje się obecna tu królowa. To tylko podczas nabożeństw w kościele ludzie są sobie równi, lecz życie się do nich nie sprowadza! W tym rzeczywistym są równi i równiejsi. Oburzają się więc na dictum starszej pani i na początku moralnie solidaryzują z oskarżonym. Głośno wyrzekają się oferowanego miliarda. A choć o tym w spektaklu bezpośrednio się nie mówi, bronią w ten sposób statusu swej dotychczasowej normalności i „naturalnego” w niej, hierarchicznego zróżnicowania ludzi.

Starsza pani doskonale o tym wie i to rozumie. Wie też, że się na nic tu nie zda dalsze pograżanie ich w nędzy. Zdaje jednak sobie sprawę, że w świecie współczesnym rzeczywiste stosunki panowania można też realizować i w inny sposób: przez wyzwolenie samoprzemocy. Należy tylko posłużyć się odpowiednimi środkami i spokojnie czekać na zamierzony skutek. W tym konkretnym przypadku wystarczyło nie wycofać się z hojnego prezentu dla miasta i jego mieszkańców, mimo, że odrzucili warunek jego otrzymania, lecz podtrzymać ofertę, by sami zadali gwałt własnej normalności i jej aksjologicznym sankcjom. I to właśnie, niby nic nie robiąc, uczyniła, otwierając kolejny plan. A czasu jej nie brakowało.

Postawiła ich oto w takiej sytuacji, w której cokolwiek by uczynili, byłoby złe. Odmawiając bowiem przyjęcia pieniędzy, skazywali by siebie na dalszą wegetację i brak perspektyw. Biorąc je i spełniając żądanie, byłiby zabili człowieka, którego wina zdawała się im niewspółmierna do kary. Sami zaś by się splamili współudziałem w zbrodni. Stanęli więc przed niezadkim w polityce paradoksem: jak usmażyć jajecznicę i nie roztluc jajka?

Gdy jednak minęły pierwsze emocje, coś w nich zaczęło się zmieniać. A źródło zmian stanowił pewien społeczno — egzystencjalny schemat, o którym w spektaklu nawet się nie wspomina, choć to za jego sprawą doszło do spełnienia życzenia starszej pani. Warto więc mu się bliżej przyjrzeć.

Oto ludzie, gdy rozpatruje się ich społeczne funkcjonowanie jako jednostek, są istotami, których aktywność życiowa kieruje się zarazem do wewnątrz i na zewnątrz. Do wewnątrz — w kierunku osobistej niszy prywatności; na zewnątrz — w stronę wspólnoty. Spoiwem owej niszy jest horyzont troski; wspólnoty — horyzont jej problemów. Pierwszy stanowi takie układy napięć emocjonalnych, myśli i działań, które towarzyszą niepokojom o prywatne interesy i stosunki oraz o bezpośrednie warunki jednostkowego trwania. To zaś, co znajduje się poza nim, nie należy już do spraw pierwszorzędnych.

Drugi, horyzont problemów, ogarnia świat wewnętrznych i zewnętrznych relacji społecznych wspólnoty, tworzących możliwości powstawania i trwania każdej niszy prywatności. Horyzont problemów bowiem dotyczy głównie czegoś, co zawsze wykracza poza wszelkie nisze prywatności. Istnienie człowiecze tedy jest usytuowane niejako między horyzontami troski i problemów. Troska zamyka ludzi w niszach prywatności. Wspólnota zaś określa to, co w konkretnym czasie i miejscu ekonomicznie, kulturowo i społecznie dzieje się w tych niszach. Zakresy troski i problemów nie pokrywają się jednak ze sobą, choć się przecinają i mogą pozostawać ze sobą w sprzeczności [\[11\]](#).

Gdy więc starsza pani oddawała się wielkopańskim breweriom, niekoniecznie godnym jej statusu i wieku, czekała spokojnie, aż do mieszkańców miasteczka z jej młodości zwolna przyjdzie świadomość, która zniewoli ich swą oczywistością. To w końcu nastąpiło. Ukazała im ona oto inną, przedtem nieobecną, hierarchię etyczną. Na jej szczycie znalazło się dobro wspólne: warunki stworzenia pomyślności obywateli, wyzwolenia ich inicjatyw, przedsiębiorczości, duchowego rozwoju itp. Oferowane miasteczku pół miliarda dolarów było na to sumą aż może nadmierną. Odmowa jej przyjęcia byłaby nieodpowiedzialnością nie tylko wobec żyjących teraz, ale — powiedzmy w duchu etyki zrównoważonego rozwoju — także przyszłych pokoleń. Czemu więc mieli nie ulec życzeniu tej arcybogatej damy? Wszak wymagał tego horyzont problemów!

A z drugiej strony: horyzonty troski mieszkańców wpisywały się idealnie w to dobro wspólne. To, co oferowała miastu przecież wiązało się z zabezpieczeniem ich nisz prywatności, oznaczało nowe perspektywy życiowe. Na dodatek starsza pani obiecała pół miliarda dla wszystkich do

podziału, co pozwalało wyjść im z biedy natychmiast. Cóż jest więc złego w błogości dostatku? Jeżeli już jakieś zło tu istnieje to — myśleli w skrytości ducha -uosabia je wciąż żywy, jak wyrzut sumienia, dawny jej kochanek. Jego trwanie okazuje się oto sprzeczne zarówno z (możliwym) dobrem wspólnym wszystkich, jak i żywotnym interesem i dobrem każdej niszy prywatności. W nowej etycznej hierarchii jego dawne zachowanie zaświeciło jak oślepiająca gwiazda zła.

Jeszcze ich niedawna, wczorajsza czy przedwczorajsza etyczność, w świetle której jego czyn był tylko niegodnym występkiem, i każdemu mógł się przydarzyć, przestaje teraz obowiązywać. Jakby jej nigdy nie było. Znika względność, pojawia się uniwersalny absolutyzm moralny. Istnieją tylko wieczne wartości, dobro i zło, białe i czarne oraz bezwarunkowe zakazy i nakazy. Jak w starogreckiej tragedii. A jeżeli tak, to zbiorowość z czystym sumieniem może już nie tylko skazać, lecz i wspólnie go zabić. I o to właśnie bohaterce chodziło. Nie musiała się sama uciekać do stosowania dalszej przemocy ekonomicznej. Obywatele dojrżeli do samoprzemocy.

Nie tylko zresztą oni. Także - jej ofiara — sklepikarz, który zgodził się na wyrok i przyjął śmierć z ich rąk, bo mu — jak już wcześniej mówiłem za autorem — „pod wpływem strachu, pod wpływem przerażenia zaczyna coś świtać, coś jak najbardziej osobistego, w sobie samym przeżywa działanie sprawiedliwości, uznaje własną winę i staje się wielki przez swoją śmierć, której nie brak pewnych znamion monumentalności”. Może więc z ofiarnego kozła wspólnoty, przemienia się w ludzkiego, choć do cna prozaicznego, bożego baranka, który gładzi jej i swoje grzechy? Nie tylko bowiem dokonuje odkupienia własnej winy, lecz i wszystkich mieszkańców miasteczka, gdyż to dzięki jego ofierze są oni rozgrzeszeni ze swej dawnej bierności i faryzejstwa, jak również z dzisiejszej na nim zbrodni. A na dodatek „ubogacają się”!

Z tej perspektywy „Wizyta starszej pani” to wręcz komedia. Komedia ludzka. Nie jest tedy przypadkiem, że, jeszcze raz powtórzmy za autorem, „Starsza pani ma poczucie humoru, nie wolno tego przeoczyć. Z dystansu patrzy na ludzi, jak na towar do nabycia, i z dystansu patrzy też na siebie sama, odznacza się osobliwym wdziękiem, groźnym urokiem”.

4. Dramatyczny urok kapitału

Postawić można jednak pytania: Co było dalej w tym miasteczku, już po jej wyjeździe? Czy nie zdarzały się potem podobne (lub tej samej miary) występkę, co niegdysiejsze czyny ich ofiary? Czy spotykała je wszakże także taka sama sankcja? Spektakl wprawdzie nie odpowiada na nie, nawet ich bezpośrednio nie stawia, ale jego logika pozwala nam tutaj je zadać i sformułować odpowiedź.

Brzmi natomiast ona tak: nic podobnego! A niby dlaczego owa sankcja musiała by się powtórzyć? Komu by to było potrzebne i czemu by służyło, jeśli nie ma już tej całej szokującej sytuacji i bezpośredniego motywu (miliarda dolarów)? Jaki sens miałyby tu absolutyzm moralny? Nie dziwota więc, że uleciał on z nich (bo musiał) jako poranna mgła. Zwykle wszak życie wymaga zwyczajności mieszczańskich stosunków. Im zaś jak najbardziej odpowiada moralna względność i faryzejstwo w odnoszeniu się nawet do tych wartości, które deklarują.

Gdyby natomiast ktoś kogoś z mieszkańców zapytał, czy postąpili wtedy słusznie, zadając sklepikarzowi śmierć na życzenie starszej pani, pewnie wzruszyliby ramionami. Najprawdopodobniej jednak odpowiedzieli by nań twierdząco, przywołując najświętsze i bezwzględne wartości, zwłaszcza dobro wspólne i pomyślność każdego jednostkowego horyzontu troski. Jednakże — jednym tchem — dodaliby, że kiedy t e r a z ktoś postąpi jak niegdyś on, nic mu się nie stanie. Tym wszak wartościom i dobru, po stronie których się opowiedzieli w t e d y , i w imieniu których śmierć zadali, nic przecież nie zagraża w a k t u a l n e j p o w s z e d n i o ś c i i c h s t o s u n k ó w , bo te normy bezwzględne powróciły do nieba absolutu wraz z wyjazdem starszej pani. I „na dzień dzisiejszy” po prostu toczy się życie. Powszedniość. Nie zauważą tu żadnej sprzeczności, dwu wykluczających się perspektyw moralnych.

Nie zauważą zaś tym bardziej, że każdy z nich kręci się jeno we własnym horyzoncie troski, i jest zmarginalizowany wobec struktury stosunków społecznych, które poznać można znajdują się poza jej zasięgiem. Są oni przecież, nawet we własnych oczach, mali i z nieznanymi sobie powodów poddani niezrozumiałym zawirowaniom losu. Ale, niezależnie od tego jak siebie widzą i co o sobie myślą, ich postawy i oceny są następstwem czegoś głębszego. Otóż: w stosunkach, które tu określiłem jako powszednie, bezwiednie działają oni tak, by dokonywała się ich płynna reprodukcja, i wszystko trwało na z góry określonym miejscu. Z tej perspektywy seksualne figle w młodości bohatera z Klarą i ich owoc, a nawet fałszywe jej oskarżenie, skazanie na beznadziejną poniewierkę to było zaledwie coś „nic wielkiego”, co było tylko przeszkodą do jego „właściwego” ożenku. Usunięcie jej, umożliwiło mu zająć odpowiednie miejsce w społecznej hierarchii miasteczka i reprodukować utrwalone zależności i powiązania. Wszystko to zmieniło się w sytuacji wyjątkowej,

którą stworzyła starsza pani, bo to dawne „nic wielkiego” w świetle jej zemsty i oferowanych pieniędzy urosło. To on teraz zagrażał tym stosunkom i powiązaniom. Ale po jego zabójstwie wszystko znowu wróciło do normy.

Klara natomiast tylko na moment zakłóciła ten ich przyziemny horyzont. Tyle, że nie dzięki sobie, swej inteligencji i charakterowi. Dokonała tego jako Medea. W jej jednak figurę mogła się wcielić nie jako samoistny podmiot, lecz u p o s t a c i o w i e n i e odpowiedniego miejsca w kapitalistycznych stosunkach własności. To one nadały jej taką moc i kształt, jaki przysługuje władzy reprezentowanego przez nią kapitału. Bez tych stosunków byłaby tylko Klarcją. Zakończyła by zapewne swój marny żywot jako prostytutka. Wszak dopiero poślubiony przez nią ormiański miliarder, który szczęśliwie dla niej zmarł, pozwolił jej zastygnąć jako ucieleśnienie owej mitologicznej postaci. Bez tego nie doszłoby więc do żadnej wizyty starszej pani i jej politycznych gier. Ale gdy pod tą wzniosłą i wyniosłą postacią dopina już swego, traci powód, by interesować się ludźmi, których w akcie zemsty sponiewierała. Stają się dlań oni zaledwie figurami na miarę powieści dla kucharek czy materiału do telewizyjnej telenoweli. I tacy też będą dopóty, dopóki z n o w u pewnego dnia nie zapowie wizyty... kolejna starsza pani z ofertą nie do odrzucenia. Wtedy zaś wiadomo, co m u s i s i ę zdarzyć.

Czy w tych (i wielu podobnych) kontekstach można myśleć o podejmowaniu rozstrzygających działań politycznych z Dekalogiem pod ręką? Reprezentujący w spektaklu jego przykazania pastor (ani nikt inny) nie bardzo się do tego kwapił. Był jak wszyscy. Niosły go zdarzenia, inspirowane przez Klarę. Bardziej obchodził go nowy dzwon na kościelnej wieży, niż głoszone na nabożeństwach absolutne zasady moralne z bożych przykazań. I nawet palcem nie kiwnął, czemu trudno się dziwić, bo jak każdy był uwikłany w własny horyzont troski.

A czy na cokolwiek mogłaby być tu przydatna postawa Kołakowskiego ze wspomnianych na początku tych rozważań jego esejów „Etyki bez kodeksu” i „Kapłana i błazna”? Raczej też nie. Postawę bowiem kapłana — wykluczyliśmy wyżej, bo kończy się ona na moralizowaniu i moralizatorstwie. Ale postawę błazna — też należy tu odrzucić. Obie zdają się nie na miejscu, choć kapłani różnych religii i błaznowie są zawsze żywotnie zaangażowani w przedstawione tu sprawy. Nie widzą ich wszakże nigdy w kontekście rozgrywek i rozrywek podmiotów władzy kapitału, stosunków własności. Pozornie się ponad nimi wznosząc, są ich funkcjonariuszami. Dlatego w świecie, w którym nam żyć wypadło, wartości bezwiednie usamodzielniają się, kamienieją w absolut lub rozpływają w monotonnej, relatywnej, mieszczańskiej powszedniości.

Jak bowiem prawie przed stuleciem pisał H. Broch w „Lunatykach”: „człowiek, niegdyś obraz i podobieństwo Boga, zwierciadło wartości świata, którego był nosicielem, już nim nie jest; choćby zachował jeszcze jakieś poczucie dawnego bezpieczeństwa, choćby zadawał sobie pytanie, jaka to nadrzędna logika przekreśliła mu sens, człowiek wypchnięty w przerażającą nieskończoność, choćby dreszcz go przechodził, choćby pełny był romantyzmu i sentymentu i tęsknił za ostoją w wierze, będzie bezradny w trybach usamodzielnionych wartości i nie pozostanie mu nic innego, jak poddać się pojedynczej wartości, która stała się jego zawodem, nie pozostaje mu nic innego jak stać się funkcją tej wartości - zawodowcem, pożarty przez radykalną logiczność wartości, w której pazury się dostał” [\[12\]](#).

5. Nasze demony

Powiada cytowany tu na początku M. Weber , że dla człowieka współczesnego sprostanie t a k i e j p o w s z e d n i o ś c i stało się jednak bardzo trudne. „Odczarowani dawni bogowie — rzecze - przybierają postać bezosobowych mocy, powstają z grobów, dążą do zapanowania nad naszym życiem i ponownie zaczynają ze sobą odwieczną walkę”. Natomiast pogoń za „przeżyciem”, czyli emocjonalno-etyczna postawa i oparta na niej działalność polityczna jest ślepa. Stanowi jeno przejaw słabości wobec tych mocy. „Słabością jest bowiem — jak czytamy — jeśli ktoś nie może spojrzeć w najsurowsze oblicze przeznaczenia epoki, w jakiej żyje”. Nie wystarcza więc Dekalog, czucie, wiara i etyczne rodzyńki w postawie oraz w działalności polityka. Może i sycą go one duchowo, inspirują, nie zabezpieczają wszakże przed powstałymi z grobu demonami, za którymi ślepo m u s i p o d a ż a ć.

W fikcyjnym świecie „Wizyty starszej pani” ujawniły się niektóre z nich, jako rynek, giełda, władza, przemoc, bogactwo, pozycja społeczna, prestiż itp. Nie w formie bezosobowej wszakże, lecz ucieleśnione w figury, siły, czyny, stosunki i powiązania. Zależnie od sposobu ich przejawiania się i relacji pomiędzy nimi, następują te czy inne zdarzenia i manifestują się moralne zasady i wartości. Raz jako absolutne, innym razem jako relatywne. Ich migotanie autor i reżyser spektaklu ujęli

w nawias ironii. My zaś, widzowie, mamy o czym myśleć, bo takie same demony trzymają i nas na uwięzi. Mimo, że realny świat społeczny nie daje się sprowadzić do wymiaru małego miasteczka, a to, co się faktycznie w nim wydarza jest układem złożonych, bezosobowych procesów politycznych i ekonomicznych.

Sądzę jednak, że to miasteczko z utworu Duerenmatta nadaje się na ogólny model, ukazujący relacje między etyką i polityką, bo w świecie, nad którym panuje kapitał i jego stosunki — „polityczność” nie ogranicza się do regulacji zależności między rządzącymi a rządzonymi w skali świata, państwa, jego instytucji czy partii politycznych. Występuje ona na każdym szczeblu społecznej struktury, gdzie istnieją jakieś grupy społeczne i problem panowania w nich. „Polityczność” więc pojawia się zarówno w skali globalnej, jak i w sejmie, w partii, fabryce, na uczelni, w kościele, stowarzyszeniu filatelistów, w grupie sportowej i turystycznej, jak i w rodzinie czy w przyjacielskim kółku. Wydawać się to może zaskakujące, lecz nie należy widzieć w tym nic dziwnego. Jeszcze bowiem parę stuleci wcześniej polityka rozgrywała się w regionach wysoko społecznie położonych klas i stanów. Jednak (wraz z nowożytnością i kapitalizmem) stopniowo schodzi w dół. Upolitycznia się całe życie międzyludzkie. O człowieczym losie zaś zaczyna decydować umiejętność nie tylko gry z władzą i o władzę, ale i jednostki z innymi o status własny.

Kiedyś więc o kwestiach panowania i stosunkach podwładności decydowały urodzenie, majątek, pozycja społeczna itp., mechanizmy wyborów i decyzji miały w sobie coś mrocznego i tajemniczego; wzniosłego lub patetycznego. Wydarzały się dramaty i tragedie. Spryt i przewrotność polityczna były wówczas dla jednych czymś moralnie podejrzanym; dla innych — przejawami rozumu i politycznych umiejętności. Ale funkcjonowały na niebotycznych dla zwykłych zjadaczy chleba szczytach. Gdy jednak stosunki międzynarodowe czy w strukturach państwa komplikowały się, stopniowo demokratyzowały i coraz bardziej biurokratyzowały, nawet bezpośrednie relacje międzyludzkie traciły autentycznie osobowy charakter. Polityka stała się wszechobecna. Dlatego z czasem wszędzie, odpowiednio do okoliczności, jest możliwy Duerenmattowski spektakl z udziałem odpowiedniej starszej pani.

Swoistą dla przykładu jej więc wizytę mieliśmy zresztą okazji przeżyć po 1989 r. w latach transformacji ustrojowej. Zadłużona, niestabilna gospodarczo i politycznie Polska, była jak to miasteczko ze spektaklu. Tym razem jednak nie ona bezpośrednio się pojawiła, lecz jej przedstawiciel: J. Sachs, który za dobiecie socjalizmu i neoliberalne reformy ekonomiczne obiecał pomoc finansową, korzystne warunki spłaty zadłużenia i normalność taką, jak w Niemczech czy we Francji [13].

Sprostanie temu uznano za środek realizacji dobra wspólnego. Indywidualne horyzonty troski nasyciła nadzieja. Socjalizm został moralnie zabity, a jego trupa, inaczej niż w sztuce, nikt nigdzie nie wywiózł. Wdeptano go w ziemię. I codziennie od dwudziestu ponad lat, na każdym kroku straszy się nim nawet dzieci w przedszkolu. Wolny rynek zaś ogłoszono narodową, niemal religijno-etyczną świętością. Działką prywatyzację - środkiem do zbawienia, czyli do uzyskania powszechnej szczęśliwości. Choć sprawy nie zakończyły się, jak u Duerenmatta, artystycznym heppy endem: powstały i utrwaliły się nowe podziały klasowe, zakwitło bezrobocie, całe regiony kraju znalazły się w gospodarczym i kulturalnym upośledzeniu. Nadzieja z rzadka już gości w wielu niszach prywatności. Jakby może powiedział Weber: po śmierci bogów żyjemy w kraju złowieszczych czarów bezosobowych demonów.

Ale „Wizyta starszej pani” nie tylko Polsce się przytrafiła. Ot, choćby wojna w Afganistanie: czyż nie jest swoistą odmianą zbliżonego spektaklu, choć nie ma w nim nawet pozoru starogreckiej tragedii? Wszak jakiś czas temu wizytę w tym kraju też złożyła pewna starsza pani — Ameryka Północna — pod postacią armii USA, by w imię sprawiedliwości i doznanych krzywd domagać się uśmiercenia Bin Ladena, Alkaidy i ruchu talibów, co niecznie ją przed laty skrzywdzili. Wysłali bowiem w świat terrorystów, nękających jej ambasady i obywateli, a w 2001 r. rozbili samolotami dwa prestiżowe wieżowce w Nowym Jorku, zabijając tysiące ludzi. A przecież byli oni jej (zbiorowym) kochasiem. Namiętnie spółkowała z nim: współfinansowała, zbroiła i szkoliła, gdy on się zmagał z inwazyjną armią ZSRR. I gdyby nadal wiernie stał na straży jej interesów, mordował wrogów, mógł by się spokojnie bawić w budowanie islamskiego raju. Nawet w najbardziej okrutnej wersji. Ale nic podobnego. W imię swych ideałów i wartości działa i zagraża ustalonemu łaadowi politycznemu w świecie zachodnim.

Kiedy więc arcybogata i zbrojna starsza pani do Afganistanu przybyła, wzbudziła nadzieję na spokój, pomyślność i rozwój u sporej części Afgańczyków, tych zwłaszcza, którym ów kochaś dokuczył. Całe jednak społeczeństwo było (i jest) podzielone nie tylko politycznie, ale też na archaiczne wspólnoty plemienne i na zbiorowości o sprzecznych interesach ekonomicznych. Nie pali się więc do spełnienia jej życzeń. Tym bardziej, że inaczej niż Klara ze sztuki Duerenmatta

i spektaklu Krzystka, pani ta nie oddawała się rozrywkom, czekając, aż mieszkańcy dojrzeją do pożądaných przez nią zachowań, lecz walcząc z niegdysiejszym kochasiem, zamiast do ładu doprowadziła do chaosu. Strzelając zaś do niego z precyzją walca drogowego posłała do raju Mahometa sporo cywilów, dlatego wielu z jeszcze nie trafionych skumało się z jej wrogami. Ale ona nie ustępuje. Trwa przy swoim. Być może jednak kiedyś wyjedzie, wygra, wymusi samoprzemoc na Afgańczykach.

Wszak w utworze Duerrenmatta starsza pani stwierdza, że człowieczeństwo ustala się na giełdzie milionerów. Ta amerykańska mogłaby dodać, że wprawdzie przede wszystkim tam, ale ucieleśnia się postaci sztabu jej potężnej armii. Tymczasem widoki na to, że się wszystko zakończy jak w powyższym spektaklu, są raczej mierne. Horyzonty troski poszczególnych Afgańczyków są wypełnione niepewnością i nieufnością. Horyzontowi problemów ich państwa natomiast nie przyświeca takie choćby, jak w spektaklu, dobro wspólne. Demony, jak dawni bogowie, zaczarowują świat. I kwitną w nim wyabsolutnione wartości etyczne oraz zasady tej starszej pani tylko.

Ona jednak może na to sobie pozwolić. Ale nie każdy. Kiedy bowiem czytam, że np. w Afryce i Ameryce Łacińskiej pojawiają się ideologie, które, w imię sprawiedliwości żądają materialnego zadośćuczynienia za wielowiekową eksploatację kolonialną [14], nie dziwi nikogo, że zbywa się je wzruszeniem ramion. Potraktowano by je serio, nie bacząc nawet na nieokreśloność tego żądania, gdyby stawiający je byli równi Klarze z analizowanego tu spektaklu. Jeżeli bowiem człowieczeństwo ustala się na giełdzie, to nic tu nie ma do powiedzenia żaden z prezentujących tę ideologię polityków, zbrojnych jeno w uczciwość, odpowiedzialność za wspólnotę, umiejętność odróżnienia dobra od zła, a może i w Dekalog itp.

Cytowany wyżej Broch zdaje się mieć rację: człowiek nie jest już zwierciadłem wartości świata. Rozsypały się one. I nie przypadkiem przeraża pisarza to, że np. logika wojska, jeśli wymagać będzie sytuacja, doprowadzić może do wytepienia narodów, ostrzeliwania cywilów, katedr i szpitali; logika menadżera wieść do wyniszczenia konkurencji; logika malarza - do tworzenia dzieł zrozumiałych tylko dla twórcy; czy wreszcie logika przekrętów mieszczańskiego kombinatora, mieszcząca się w bezwzględnej konsekwencji hasła „bogaćcie się!”, prowadzić może do utrwalania obszarów nędzy i wykluczenia, lub polityka nawet do dyktatury, aby tylko osiągnąć swe cele. A - dodajmy — logika starszej pani do wspólnotowej samoprzemocy i morderstwa.

To wszystko stanowi rezultaty bezradności w trybach usamodzielnionych wartości, które ujawniły się z przeraźliwą jasnością już w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Wówczas to, skutkiem złożonych procesów ekonomicznych, politycznych i kulturowych, człowiek stał się jednowymiarowy. Okazał się tworem czegoś wobec niego zewnętrznego: sprzecznych stosunków społecznych, anonimowych instytucji, ślepej gry rynkowej. Dlatego wszędzie możliwe są wizyty jakiejś starszej pani. Niekoniecznie jednak tak wyniosłej i wzniosłej, jak Medea.

Przypisy:

[1] Szerzej na ten temat: J. Kurowicki - "Prozaiczność jako kategoria polityki" (w:) "Metafory polityki" t. 2. pod red. B. Kaczmarska, Warszawa, 2003 r.

[2] L. Kołakowski - "Etyka bez kodeksu" (w:) Kultura i fetysze, Warszawa, 1967 r.

[4] L. Kołakowski - "Kapłan i błazen" (w:) "Pochwała niekonsekwencji" t. 2. Warszawa, 1989 r.

[5] F. Duerrenmatt - "Wizyta starszej pani", Warszawa, 1988 r. s. 35.

[6] op. cit. s. 101.

[7] op.cit. s. 64.

[8] op. cit. s. 101.

[9] op. cit. s. 10. Nawiasem mówiąc: wypowiedzi na ten temat bohaterów sztuki zostały przez Krzystka pominięte. Pewnie z powodu panującej poprawności politycznej, choć dobrze by pasowały do polskiej, pszenno-kartoflanej, dzisiejszej mentalności.

[10] W. Benjamin - "Kapitalizm jako religia", "Krytyka Polityczna" nr. 11/12, 2007 r.

[11] Dokładniej o tym w: J. Kurowicki - "Estetyczność środowiska naturalnego", Warszawa, 2010 r. s. 240 -244.

[12] H. Broch - "Lunatycy", Wrocław, 1997 r. s. 580 - 581.

[13] Szerzej o tym w: N. Klein - "Doktryna szoku", Warszawa, 2008 r., s. 211-215.

[14] J. Ziegler - "Nienawiść do Zachodu", Warszawa, 2010 r.

Jan Kurowicki

Profesor zwyczajny, kierownik katedry nauk społecznych na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. Autor ponad trzydziestu książek z filozofii kultury, literatury i filozofii społecznej. Ostatnio wydana: "Estetyczność środowiska naturalnego" (Książka i Prasa, 2010)



[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 17-02-2013 Ostatnia zmiana: 19-02-2013)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8752) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8752>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl